

Lublin, 24 listopada 1987 r.
i 27 lutego 1988 r. /uzupełnienia/

Z A P I S R O Z M O W Y /z nagrania magnetofonowego/

Udział biorą: LK - Ludwika Kukuła
ZM - Zbigniew Muszyński

ZM - Rozmawiam z panią Ludwiką Kukuła, wdową po Józefie Kukule, w okresie II wojny światowej komendantce V rejonu Armii Krajowej w obwodzie Lublin-powiat, obejmującego gminy Bychawa, Chodel, Niedrz-wica i Piotrowice, a przez pewien czas również Bełżyce.

Chciałbym przede wszystkim dowiedzieć się, zebrać od pani dane biograficzne nieżyjącego małżonka. Zaczniemy od takich podstawowych informacji jak data i miejsce urodzenia, środowisko z którego pochodził, imiona rodziców, jeżeli pani je zna, itp.

LK - Mój mąż, Józef Kukuła, urodził się 14 lutego 1911 r. w Krakowie. Rodzicami jego byli Franciszek i Zofia z Wiarowskich. Nie wiem, kim był jego ojciec, wiem jedynie, że zginął gdzieś w walkach w czasie pierwszej wojny światowej, matka natomiast zmarła na tyfus, też w okresie wojny lub zaraz po wojnie. Cała rodzina wymarła, został tylko on. Nie miał rodzeństwa, dlatego mogą mieć o nim i jego rodzinie niepełne informacje.

Po śmierci rodziców wychowywał się u swoich wujków w Krakowie. Wujek jego pracował na kolei, był - zdaje się - zawiadowcą stacji w Krakowie. Nazywał się Wiarowski. Ci jego opiekunowie, wujek i ciotka już nie żyją. Oni nie mieli własnych dzieci i wzięli jego, jako sierotę, na wychowanie.

Do szkół chodził w Krakowie, a po ukończeniu gimnazjum zaczął studiować prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ponieważ nie miał warunków, przerwał studia na drugi roku i poszedł do wojska. Ukończył szkołę oficerską.

ZM - Czy pani wie, gdzie i jaką szkołę ukończył, gdzie następnie służył w wojsku, w jakich jednostkach, jaki miał stopień?

LK - Niestety, niewiele wiem na ten temat. Musiałabym zatelefonować do jego ciotki, to może bym się jeszcze czegoś dowiedziała. Wiem tylko, że po ukończeniu szkoły podchorążych został przydzielony do Sanoka i aż do wybuchu wojny tam służył w stopniu porucznika w 2-gim pułku strzelców podhalańskich. Tam właśnie był również w ostatnich latach przed wojną pan Tumidajski, późniejszy d-ca okręgu AK w Lublinie.

Gdzie mąż kończył podchorążówkę, nie wiem. Coś mi się przypomina, że mówił o Komorowie. Mam zdjęcie męża w historycznym stroju podchorążego zrobione prawdopodobnie na dziedzińcu tej szkoły. Może ktoś na podstawie tego zdjęcia będzie mógł zidentyfikować, gdzie to było.

Z Sanoka mam też takie zbiorowe zdjęcia, na których jest również mój mąż. Na jednym z nich są słuchacze i wykładowcy szkoły podoficerskiej prowadzonej w latach 1935-1936 w 2 psp, gdzie mąż też był wykładowcą. Drugie jest zrobione gdzieś na ćwiczeniach. Na tym zdjęciu za mężem stoi por. Niedzielski, który później zamordowany został w Katyniu.

Przed wojną mąż został wysłany do szkoły w Rembertowie, miał awansować po jej ukończeniu na kapitana. Niestety wybuchła wojna, szkoły tej nie ukończył.

Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku w ramach swojego macierzystego pułku. Został ciężko ranny pod Wiślicą. Żołnierze wynieśli go z pola walki na karabinach, uratowali mu życie.

ZM - O tym wydarzeniu wiem. W dniu 8 września 2 psp bronił przepraw przez Nidę pod Konieczmostami /I batalion/ i pod Jurkowem /II batalion/. Porucznik Kukuła był dowódcą 2 kompanii w I batalionie, bronił więc przeprawy pod Konieczmostami.

Około południa piechota niemiecka ruszyła do natarcia przy wsparciu czołgów i bardzo silnego ognia artylerii, z głównym uderzeniem na kierunek Konieczmosty - Wiślica. Po parokrotnych niemieckich natarciach obrońcy przeprawy zostali zmuszeni w godzinach popołudniowych do wycofania się spod Konieczmostów za rzekę.

Straty 2 psp w walkach pod Wiślicą były duże i wyniosły: poległych ok. 75-100 żołnierzy, w tym czterech oficerów; rannych 250-300 żołnierzy, w tym sześciu oficerów. Wśród ciężko rannych znalazł się d-ca 2 kompanii por. Józef Kukuła.

Tyle wiem, a co pani może mi powiedzieć o dalszych losach męża?

LK - Wycofując się ze swą jednostką na wschód znalazł się na terenach zajętych przez Rosjan, w Olyce.

Po przejściu frontu, po cofnięciu się Rosjan spod Lublina, szukałam go wszędzie. Ktoś mówił, że widział jak ich do Chełma wieźli, inni znowu coś innego mówili. Ja pojechałam do Chełma, dotarłam do jakiegoś żołnierza, który go znał i on mi powiedział, że porucznik Kukuła był w Olyce.

ZM - Jak pani dotarła w Chełmie do ludzi znających męża ?

LK - Trafiłam do jednostki, do jakiegoś uprzejmego oficera inspekcyjnego, czy innego, który pozwolił mi tam wejść i chodził ze mną po tych wojskowych pawilonach, po tych salach; mnóstwo tam było rannych ludzi. Podawałam nazwisko i pytałam się, czy ktoś może takiego zna. I odezwał się wtedy jakiś żołnierz - nie wiem, kto to był - który mi powiedział, że znał porucznika Kukułę, że był on jego przełożonym. On właśnie powiedział mi o tej Ołyce, co zresztą później mąż potwierdził.

Ja z tą wieścią o jego pobycie w Ołyce wracałam z Chełna do Lublina, na Ogródową, bo tutaj mój brat Mieczysław mieszkał. Był prawnikiem, już nie żyje. I w tym samym czasie, kiedy ja męża poszukiwałam, on już wrócił do Lublina i tu właśnie był, u mego brata. Wyszedł tak z za drzwi - pamiętam to jak dziś - był o kulach. Okropne wrażenie to na mnie zrobiło. Był w jakimś takim spencerze, który mu dała - jak później opowiadał - jakaś zakonnica. Był jeszcze bardzo chory, poraniony; miał niesprawną nogę, przestrzeloną, jeszcze z raną. Był ranny także w plecy i miał tam jakiś niewyjęty odłamek.

ZM - Kiedy, w jakim czasie mąż wrócił do Lublina z Ołyki ?

LK - Trudno mi to dokładnie określić, ale było to chyba w drugiej połowie października 1939 roku.

Mąż, już po ogarnięciu ich przez Sowieców, był w Ołyce w jakimś szpitalu i dowiedział się, dali im znać, że Rosjanie wywożą oficerów. Dostał wówczas, zdaje się od siostry szpitalnej-zakonnicy, ubranie cywilne, udało mu się uciec, gdzieś się tam przechował i po jakim takim podleczeniu, w przebraniu, kulawy jechał, szedł w stronę Lublina, przeszedł Eug i trafił do nas. Wiedział, gdzie mnie można szukać, bo miałam w Lublinie rodzinę. Poza tym ja byłam przed wojną nauczycielką, właśnie na Lubelszczyźnie, koło Janowa Lubelskiego, więc tutaj mnie szukał. Wiedział gdzie mieszka mój brat i do niego dotarł, bo przypuszczał, że tu mnie spotka, gdyż ja miałam od 1-go września uczyć w szkole powszechnej w Gałęzowie. Widzi pan, tutaj mam wyjęty z akt ten dokument o przeniesieniu mnie z dniem 1 września 1939 roku ze szkoły w Łysołajach do szkoły w Gałęzowie.

ZM - Mówiła pani poprzednio, że pracowała w okolicy Janowa Lubelskiego ?

LK - Początkowo w samym Janowie. Tam uczyłam wcześniej, a potem, w ostatnim roku przed wojną w Łysołajach. Stamtąd zostałam przeniesiona do Gałęzowa. I właśnie do Gałęzowa jechałam z Sanoka w pierwszych dniach wojny i nie zdążyłam dojechać.

ZM - Jak pani dotarła w Chełmie do ludzi znających męża ?

LK - Trafiałam do jednostki, do jakiegoś uprzejmego oficera inspekcyjnego, czy innego, który pozwolił mi tam wejść i chodził ze mną po tych wojskowych pawilonach, po tych salach; mnóstwo tam było rannych ludzi. Podawałam nazwisko i pytałam się, czy ktoś może takiego zna. I odezwał się wtedy jakiś żołnierz - nie wiem, kto to był - który mi powiedział, że znał porucznika Kukułę, że był on jego przełożonym. On właśnie powiedział mi o tej Olyce, co zresztą później mąż potwierdził.

Ja z tą wieścią o jego pobycie w Olyce wracałam z Chełna do Lublina, na Ogrodową, bo tutaj mój brat Mieczysław mieszkał. Był prawnikiem, już nie żyje. I w tym samym czasie, kiedy ja męża poszukiwałam, on już wrócił do Lublina i tu właśnie był, u mego brata. Wyszedł tak z za drzwi - paniętam to jak dziś - był o kulach. Okropne wrażenie to na mnie zrobiło. Był w jakimś takim spencerze, który mu dała - jak później opowiadał - jakaś zakonnica. Był jeszcze bardzo chory, poraniony; miał niesprawną nogę, przestrzeloną, jeszcze z raną. Był ranny także w plecy i miał tam jakiś niewyjęty odłamek.

ZM - Kiedy, w jakim czasie mąż wrócił do Lublina z Olyki ?

LK - Trudno mi to dokładnie określić, ale było to chyba w drugiej połowie października 1939 roku.

Mąż, już po ogarnięciu ich przez Sowieców, był w Olyce w jakimś szpitalu i dowiedział się, dali im znać, że Rosjanie wywożą oficerów. Dostał wówczas, zdaje się od siostry szpitalnej-zakonnicy, ubranie cywilne, udało mu się uciec, gdzieś się tam przechował i po jakim takim podleczeniu, w przebraniu, kulawy jechał, szedł w stronę Lublina, przeszedł Bug i trafił do nas. Wiedział, gdzie mnie można szukać, bo miałam w Lublinie rodzinę. Poza tym ja byłam przed wojną nauczycielką, właśnie na Lubelszczyźnie, koło Janowa Lubelskiego, więc tutaj mnie szukał. Wiedział gdzie mieszka mój brat i do niego dotarł, bo przypuszczał, że tu mnie spotka, gdyż ja miałam od 1-go września uczyć w szkole powszechnej w Gałęzowie. Widzi pan, tutaj mam wyjęty z akt ten dokument o przeniesieniu mnie z dniem 1 września 1939 roku ze szkoły w Łysołajach do szkoły w Gałęzowie.

ZM - Mówiła pani poprzednio, że pracowała w okolicy Janowa Lubelskiego ?

LK - Początkowo w samym Janowie. Tam uczyłam weześniej, a potem, w ostatnim roku przed wojną w Łysołajach. Stamtąd zostałam przeniesiona do Gałęzowa. I właśnie do Gałęzowa jechałam z Sanoka w pierwszych dniach wojny i nie zdążyłam dojechać.

ZM - Pochodziła pani z Lublina?

LK - Nie. Z Sanoka.

ZM - A dlaczego, wobec tego, znalazła się pani w Lublinie?

LK - Bo - jak już mówiłam - byłam nauczycielką w Lubelskiem /przed wojną skończyłam seminarium nauczycielskie w Sanoku/, a poza tym w Lublinie mieszkał mój brat z rodziną.

Na przełomie sierpnia - września 1939 roku jechałam z Sanoka na posadę w Lubelskie. Jechałam pociągiem przez Lwów. Zatrzymałam się we Lwowie i tam mnie już spotkało bombardowanie. Nie bardzo wiedziałam co mam robić, ale chciałam koniecznie dojechać do Lublina. Dostałam się do Rawy Ruskiej. Ponieważ mosty były uszkodzone, przewieziono nas promem przez Bug i dojechałam jakoś do Jarosławia, bo tam też miałam rodzinę. W Jarosławiu Niemcy potraktowali nas jako uciekinierów, Flüchtlinge mówili na nas. Pozwolili mi pojechać do Lublina. I tak dostałam się do brata na Ogrodową, a miałam tyle, co na siebie.

Zaraz po powrocie męża wzięliśmy ślub. Małżeństwo zawarliśmy, jak wynika z tej metryki, 7 listopada 1939 roku w parafii katedralnej św. Jana w Lublinie.

ZM - Czy mąż występował pod swoim nazwiskiem w okresie okupacji, czy pod jakimś przybranym, konspiracyjnym?

LK - Pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

ZM - A jakie było pani nazwisko panińskie?

LK - Nazywałam się Ludwika Kłak.

Po ślubie przenieśliśmy się zaraz do Gałęzowa, gdzie ja pracowałam jako nauczycielka. Mieszkaliśmy w szkole, w takim małym pokojku, bez żadnych wygód. Mąż w tym czasie był jeszcze bardzo chory po zranieniu na froncie. Bardzo ciężkie tam były warunki, w tym Gałęzowie, ale musiałam pracować, żebyśmy mieli za co żyć. Mąż nie pracował, początkowo nie meldował się nigdzie, ponieważ Niemcy nadal ogłaszali obowiązek rejestracji i poszukiwali oficerów. Mąż co mógł, to w domu robił, ale jeszcze nadal chodził o kuli. Po pewnym czasie pobytu w Gałęzowie trzeba się było jednak zameldować i wyjaśnić, kim jest. Zameldował się, podając zawód buchalter - księgowy.

Z dniem 1-go września 1940 roku zostałam przeniesiona do Woli Gałęzowskiej. Tutaj są dokumenty dotyczące tego przeniesienia. To przeniesienie do Woli było przyczyną wszystkich nieszczęść.

ZM - Gdzie państwo mieszkaliście w Woli Gałęzowskiej?

LK - W szkole, tak samo jak w Gałęzowie.

Po naszym osiedleniu się w Woli Gałęzowskiej zainteresowała się nami pani hrabina Zakrzeńska - Rostworowska z pierwszego męża, z tamtejszego majątku. Ponieważ nam z tej jednej skromniutkiej nauczycielskiej pensyjki trudno było wyżyć, zajmowałam się czym mogłam, handlowałam, dorabiałam. Z drugą nauczycielką, która ze mną uczyła, wzięłyśmy w majątku do uprawy /przerywania, plewienia/ morgę buraków po to, żeby zarobić i zyskać cukier, bo za tę robotę dawali chyba pół metra cukru i kilkadziesiąt złotych, chyba pięćdziesiąt, dokładnie nie pamiętam. Myśmy popołudniami chodziły tam robić.

Kiedy przyszło do wypłaty, pani Zakrzeńska kazała mi na końcu zostać i zapytała, czy ja nie zechciałabym uczyć jej syna, który był na poziomie III-IV klasy szkoły powszechnej. A przy tym powiedziała do mnie: - „Niech pani powie mi prawdę o sobie, bo ja i tak wszystko wiem”. Nie wiem, skąd ona mogła wiedzieć?

ZM - I co? Zostawiła pani wówczas pracę nauczycielską w szkole?

LK - Nie! Nie zostawiłam, tylko mnie wyrzucili. Miałam gdzieś taki dokument z niemiecką pieczętką, że udzielają mi bezterminowego urlopu.

ZM - A kiedy to mogło być? Jak długo byliście państwo w szkole w Woli Gałęzowskiej?

LK - Najwyżej rok. W roku 1941 zostałam usunięta ze szkoły. Dostałam bezterminowy urlop. Szukałam tego dokumentu, ale gdzieś mi się zawieruszył, chyba przy zbieraniu papierów do emerytury. Może się jeszcze znajdzie. To był już dokument z hitlerowskim orłem i swastyką.

Po usunięciu ze szkoły nie mieliśmy z czego żyć. Trzeba było więc jakoś się ratować; zaczęłam jeździć do Lublina z jajkami, z masłem, handlować jak wielu w tym czasie. Za masło i jaja kupowałam skarpetki, nici, przywoziłam na wieś i sprzedawałam tam.

Pani Zakrzeńska wypłaciła mi ekwiwalent za buraki i zapytała się jeszcze o męża, co umie i co robi. Ona chyba o nas rzeczywiście dość dużo wiedziała i przypuszczała, albo wiedziała, kim jest mój mąż. Mówi do mnie: - „Mąż chodzi o kuli, ale może być u nas ogrodnikiem”. Więc ja się zgodziłam na to wszystko. Zaczęłam uczyć tego chłopca, a mąż podjął tę pracę, chodził, zamiatał alejki.

Ponieważ ja miałam nakaz opuszczenia szkoły, a mieliśmy tam taką maleńką izdebkę, tylko z piecem, w którym się gotowało na rondelku, a do tego kierownik szkoły był wyjątkowo niesympatyczny, opuściłam więc szkołę i przenieśliśmy się do majątku. Dali nam tam pokój malusieńki, taki przez łazienkę przechodzony i tam żeśmy zamieszkali. Tam się zaczęła dopiero na dobre ta konspiracja męża.

ZM - Kiedy to było?

LK - Chyba w 1942 roku, a może nawet i w 1941. Nie bardzo pamiętam. Nie, chyba jednak już w 1941, bo jeszcze w okresie mieszkania w szkole mąż już zaczynał konspirować, już macki puszczał; nie mógł usiedzieć.

Kiedy byliśmy jeszcze w Gałęzowie ktoś z rodziny, z Sanoka, zatelefonował do mnie, żebym przejechała do Sanoka, bo jest jakaś ważna sprawa do załatwienia. Pojechałam tam i poszłam do wskazanego mi pana, kolegi męża z wojska. Po drodze spotkała mnie jeszcze taka nieprzyjemność: zatrzymali mnie Niemcy na stacji, legitymowali. Bałam się strasznie.

Ten pan, u którego byłam, to był taki bardzo serdeczny kolega męża - mam zdjęcie, ale nie pamiętam już jego nazwiska, to już tyle lat temu było - i mówił, że on może męża przeprowadzić przez granicę, na Węgry. Ja powiedziałam, że mąż jeszcze nie jest zdrow, że jeszcze leczy rany, a on na to, że nie szkodzi, on go na plecach przeniesie. Ja z tą propozycją wróciłam do domu i mówię mężowi, że tak i tak chciał ten kolega. A on na to, że w żadnym wypadku nie pojedzie, tu jest jego ojczyzna i on tu zostanie. I został na swoje nieszczęście. Tamci urządzili się i żyją.

No więc został i spotkał w Woli Gałęzowskiej takiego pana, który nazywał się Ziętek. Nie wiem, czy on jeszcze żyje? Ten Ziętek działał w tym czasie w BCH, a później przeszedł do AK. Tak się zaczęło.

ZM - Czyli ten Ziętek był osobą, która wprowadziła męża do konspiracji?

LK - Tak, razem zaczynali to działanie. Na początku dużo było takich spraw tajnych przede mną, bo ja byłam bardzo przeciwna temu wszystkiemu. Był przecież jeszcze chory, miał te niezaleczone rany. Mówiłam mu: - Siedź, jak ci dobrze. Zobaczymy, co będzie dalej.

Kiedy pani Zakrzeńska zorientowała się, że mąż zna język niemiecki, więc z tego ogrodnictwa przerzuciła go do buchalterii,

zgodnie z zameldowaniem. Ponieważ tam Niemcy przyjeżdżali, chodziło o to, by mógł z nimi załatwiać te wszystkie rozrachunkowe sprawy, dostawy, kontyngenty. Miał więc już wówczas legitymację - ausweis, że Józef Kukuła jest buchalterem w majątku.

Tam, we dworze, pod naszym pokoikiem była taka skrytka, a w niej cały arsenał: te empi, rewolwery i inna broń. No, i ciągle tam przyjeżdżali chłopcy z Gałęzowa, z Woli Gałęzowskiej, ciągle było ich pełno. Były bardzo denerwujące momenty, bo nieraz, w czasie przyjazdu Niemców, tu byli partyzanci, a za ścianą Niemcy. To była rozpacz; co człowiek przeżył, to straszna rzecz. A po nocach ciągle stukanie tymi karabinami. Niesamowite historie. I tak się to wszystko tam zaczęło.

ZM - Jak to było z tą skrytką pod waszym pokojem? Kiedy została wykonana? Czy wyście ją już tam zastali?

LK - Nie. W czasie naszego mieszkania tam zrobiono skrytkę. Mąż szkolił młodzież, trzeba było przechowywać broń i wtedy zostało to zrobione.

ZM - Czy pani pamięta jeszcze jakichś ludzi, z którymi mąż współpracował w konspiracji w Woli Gałęzowskiej, z którymi się spotykał?

LK - To byli ci młodzi chłopcy, ale wielu z nich nie żyje, a poza tym ja ich nazwisk nie znałam.

Różne zebrania, spotkania w majątku były częste, a i ci młodzi partyzanci często przychodzili. W czasie takich spotkań z ich strony była zapewniana ochrona, pilnowali tego majątku.

Ci młodzi chłopcy przychodzący do nas śmiali się nieraz patrząc jak ja zajęta różnymi robotami w majątku /klucze miałam, doglądałam spiżarni/ zostawiałam nieraz dziecko w takim kojcu na dworze, piesek je pilnował. Oni mówili wówczas, że robię dziecku Majdanek, chowam dziecko w Majdanku.

ZM - Czy mąż odzyskał zdrowie po tych przejściach i ranach z kampanii wrześniowej?

LK - O tyle, że rany się zagoiły, ale ten odłamek został w plecach. Ale już chodził swobodnie, był sprawny. Ja nawet z nim byłam raz na zrzucie. To było gdzieś na polach między Gałęzowem i Wolą.

ZM - Czy z przyjmującymi zrzuty ludźmi z oddziału „Szarugi” lub z samym „Szarugą” może się pani kiedyś spotkała?

LK - Ze „Spartaninem” to kontakty były, ale z „Szarugą” nie. „Spartanina” pamiętam. Poza nim bywał też u nas jakiś „Cichy”.

Te spotkania, posiedzenia u Zakrzeńskich tragicznie się skończyły: obydwójce zostali zabrani na Zamek i też nie żyją.

ZM - A ze środowiska dowódczego, z kierownictwa konspiracji, kto bywał u Zakrzeńskich?

LK - Nie przypominam sobie. Przyjeżdżał tam na spotkania jakiś dowódca - tak mi się wydaje - o pseudonimie chyba „Wilk”, ale nie wiem napewno czy taki miał pseudonim i jak się nazywał. Nazwisko tego dowódcy, który organizował spotkania, może znać pan Bednarski, bo mężczyźni to lepiej takie rzeczy pamiętają, są tym bardziej zainteresowani. Pan Bednarski był we dworze chyba ekonomem, rządcą nie był.

Pamiętam jeszcze takiego pana Dąbrowskiego z majątku, ale on już dawno nie żyje. On już w czasie wojny był starym człowiekiem.

Był tam jeszcze pan Szurek, krawiectwem się zajmował, ale to już staruszek, ma chyba z osiemdziesiąt lat. Był wdowcem, sam wychowywał syna, który teraz jest księdzem. Wówczas był małym chłopcem, szedł do pierwszej komunii, mąż mu nawet medalik dał. Nie wiem gdzie ten ksiądz stale mieszka; wiem, że należy do zakonu orionistów i prowadzi w Międzybrodziu w Beskidzie Śląskim taki ośrodek opieki dla ludzi chorych. Ten ksiądz niewiele na temat okupacji i konspiracji mógłby powiedzieć, był wówczas małym chłopcem, niewtajemniczonym, ale patrzył na to co się działo, może więc coś pamiętać. Był nawet w tym roku na wiosnę tutaj, odwiedził mnie, chciał na grób mego męża pojechać i byliśmy tam.

ZM - Opowiadając o właścicielach majątku w Woli Gałęzowskiej używa pani nazwiska Rostworowska i Zakrzeńska, a czasami mówi pani o hrabinie Rostworowskiej - Zakrzeńskiej. Jak to było z tymi nazwiskami, czy w takiej kolejności były używane, czy w odwrotnej?

LK - W takiej. Rostworowska - Zakrzeńska. Z pierwszego męża była Rostworowska, z drugiego Zakrzeńska. Po raz drugi wyszła za mąż za pana Stefana Zakrzeńskiego, który później zginął na Zamku w Lublinie.

ZM - Kiedy? Za Niemców, czy po wejściu Rosjan?

LK - Po wejściu Rosjan. Zakrzeński jest również jednym z tych, którzy zginęli na Zamku już za nowej władzy. Ja sądzę, że on zmarł z wycieńczenia. Pan Zakrzeński był bardzo porządnym człowiekiem. Pani Teresa Zakrzeńska też była na Zamku, ale ją wypuścili i mie-

szkała później u swojego syna, gdzieś na Wybrzeżu. Ona niezbyt długo żyła po wojnie.

ZM - A może pani mogłaby mi coś opowiedzieć o Konstantym Rostworowskim, którego książka „Między wojnami” ukazała się niedawno na Zachodzie, a który też związany był z Wolą Gałęzowską.

LK - Kocio! Kocio książkę napisał?!

ZM - A kto to jest ten Kocio?

LK - To był z pierwszego małżeństwa pani Rostworowskiej-Zakrzeńskiej syn. Ona miała z Rostworowskim dwu synów: Stefana i Konstantego, czyli Kocia, bo tak go w domu nazywane, i córkę Marię. To było troje dzieci z pierwszego małżeństwa, to byli Rostworowscy. Z drugiego małżeństwa był tylko jeden syn Andrzej Zakrzeński, ten Jędrus, którego ja uczyłam.

Andrzej Zakrzeński - jak już mówiłam - żyje i pracuje gdzieś na Pomorzu w leśnictwie. Można by się dowiedzieć czegoś o nim od Stefana Rostworowskiego, który mieszka w Krakowie, ale ja jego adresu też nie znam.

Stefan Rostworowski był takim biednym chłopakiem, chwilami psychicznie trochę niezrównoważonym, ale to był artysta. Później wszystko się dobrze z jego zdrowiem ułożyło i teraz jest malarzem w Krakowie, ma kilkoro dzieci.

Konstanty, czyli ten Kocio, to był bardzo figlarny młody człowiek, bardzo przystojny. Ach, cóż to był za chłopak! Ale on gdzieś się zawieruszył i nikt nie wiedział, co się z nim stało. I on napisał książkę?

ZM - Napewno on. Jesienią 1944 roku był w Lublinie w ludowym wojsku, później znalazł się na Zachodzie, ale kiedy, jakimi drogami tam trafił i gdzie przebywał na Zachodzie, tego narazie nie wiem. Jeżeli to panią interesuje, postaram się zdobyć trochę informacji o nim. Chętnie przeczytałbym też jego książkę, ale niestety nie mam jej i nie mam możliwości dotarcia do niej.

LK - Ciekawa jestem niezmiernie i ja tej książki. Znałam doskonale całą rodzinę Rostworowskiej-Zakrzeńskiej. Tam były te zjazdy, spotykało się, znało się także wielu ludzi z okolicy.

Kiedy mieszkaliśmy w Woli Gałęzowskiej, pani Zakrzeńska darzyła nas pełnym zaufaniem. Ja miałam klucze od całego dobytku, byłam taką ochmistrzynią. Nawet dzieci były zazdrosne o to, że „Józefowie”

szkała później u swojego syna, gdzieś na Wybrzeżu. Ona niezbyt długo żyła po wojnie.

ZM - A może pani mogłaby mi coś opowiedzieć o Konstantym Rostworowskim, którego książka „Między wojnami” ukazała się niedawno na Zachodzie, a który też związany był z Wolą Gałęzowską.

LK - Kocio! Kocio książkę napisał?!

ZM - A kto to jest ten Kocio?

LK - To był z pierwszego małżeństwa pani Rostworowskiej-Zakrzeńskiej syn. Ona miała z Rostworowskim dwu synów: Stefana i Konstantego, czyli Kocia, bo tak go w domu nazywano, i córkę Marię. To było troje dzieci z pierwszego małżeństwa, to byli Rostworowscy. Z drugiego małżeństwa był tylko jeden syn Andrzej Zakrzeński, ten Jędrus, którego ja uczyłam.

Andrzej Zakrzeński - jak już mówiłam - żyje i pracuje gdzieś na Pomorzu w leśnictwie. Można by się dowiedzieć czegoś o nim od Stefana Rostworowskiego, który mieszka w Krakowie, ale ja jego adresu też nie znam.

Stefan Rostworowski był takim biednym chłopakiem, chwilami psychicznie trochę niezrównoważonym, ale to był artysta. Później wszystko się dobrze z jego zdrowiem ułożyło i teraz jest malarzem w Krakowie, ma kilkoro dzieci.

Konstanty, czyli ten Kocio, to był bardzo figlarny młody człowiek, bardzo przystojny. Ach, cóż to był za chłopak! Ale on gdzieś się zawieruszył i nikt nie wiedział, co się z nim stało. I on napisał książkę?

ZM - Napewno on. Jesienią 1944 roku był w Lublinie w ludowym wojsku, później znalazł się na Zachodzie, ale kiedy, jakimi drogami tam trafił i gdzie przebywał na Zachodzie, tego narazie nie wiem. Jeżeli to panią interesuje, postaram się zdobyć trochę informacji o nim. Chętnie przeczytałbym też jego książkę, ale niestety nie mam jej i nie mam możliwości dotarcia do niej.

LK - Ciekawa jestem niezmiernie i ja tej książki. Znałam doskonale całą rodzinę Rostworowskiej-Zakrzeńskiej. Tam były te zjazdy, spotykało się, znało się także wielu ludzi z okolicy.

Kiedy mieszkaliśmy w Woli Gałęzowskiej, pani Zakrzeńska darzyła nas pełnym zaufaniem. Ja miałam klucze od całego dobytku, byłam taką ochmistrzynią. Nawet dzieci były zazdrosne o to, że „Józefowie”

- bo tak nas tam nazywane - „są zawsze na pierwszym miejscu”. Pani Zakrzeńska była nawet matką chrzestną naszej córeczki Anny.

ZM - Czy ta trójka dzieci pani Rostworowskiej z pierwszego małżeństwa mieszkała razem z matką w Woli Gałęzowskiej?

LK - Córka Marysia była już mężatką, natomiast Stefan i Kocio byli tam z matką. Ich ojciec, Rostworowski, mieszkał w swym majątku w Józefowie. Pani Rostworowska nie mogła z nim żyć, bo był okropnym kobieciarzem. On żadnej ładniejszej dziewczynie we wsi nie przepuścił.

ZM - Wspominała pani o znajomych ludziach z okolicznych majątków. Kogo, jakie wydarzenia przypominają sobie pani?

LK - Takim głośnym i strasznym wydarzeniem było zamordowanie - w takim niezbyt odległym majątku, ale w tej chwili nie pamiętam jego nazwy - właściciela i rządcy. Nogami od krzesła, czy foteli ich zabili, głowy im tak porozbijali, że na tych nogach były włosy, skóra i mózgi ofiar.

ZM - To zrobił chyba oddział „Cienia”?

LK - Ja nie znam dokładnie tej historii, wiem jedynie, że to był jakiś oddział AL; czy to był „Cień” nie jestem pewna. Ten zamordowany przez nich nazywał się Jankowski. To był właściciel majątku.

ZM - Właściciel czy rządcą?

LK - Właściciel. Jankowski był właścicielem, a jak się nazywał rządcą, tego nie wiem. Nie znam też nazwiska ogrodnika.

Tutaj w Lublinie spotykam czasami na ulicy ogrodnika państwa Zakrzeńskich i jeżeli kiedyś go jeszcze spotkam - bo on tutaj gdzieś pracuje - to od niego dowiedziałabym się nazwiska tego zamordowanego ogrodnika. Ten pan był ogrodnikiem w tym czasie, kiedy ja byłam u Zakrzeńskich i znał napewno zamordowanego, bo to było bardzo blisko. Nie wiem, nie pamiętam, jak się nazywała ta miejscowość, ale to było niedaleko za Wolą Gałęzowską, miejscowość na K.

ZM - W jedną stronę był folwark Kajetanów, a w drugą Kowersk. W którym kierunku od Woli Gałęzowskiej to było?

LK - Nie w kierunku Starej Wsi, tylko tam w górze, gdzie jest Gałęzów. Tam właśnie był ten majątek.

ZM - To w takim razie Kowersk. Jakie były powody zamordowania tych ludzi?

LK - Tego nie wiem. Wiem tylko, że zginęli właściciel, rządcą i ogrodnik. Trzy trupy były po tych „odwiedzinach” oddziału.

Mnie oni, chyba ci od „Cienia” zabrali ostatnią sukienkę. Jak przyjechali kiedyś do nas i buzowali po majątku, to rabowali wszystko co było. Na krześle leżała sukienka, to i ją zabrali. Może nie on sam, ale jego bandyci. To była dzicz.

Kiedyś przyszedł jakiś oddział, nie wiem kto to był, to rabowali i zjadali, co się dało, palcami jedli konfitury. Coś niesamowitego, jaka to dzicz była. Wydaje mi się, że to był ruski lub polsko-ruski oddział.

ZM - Wracając do naszej zasadniczej opowieści: mieszkaliście państwo w majątku w Woli Gałęzowskiej aż do wejścia Rosjan?

LK - Tak. Jak weszli Rosjanie, to niedługo później przyszli tam jacyś tacy z biało-czerwonymi opaskami i Sowietci razem z nimi. Zaczęli męża szukać. Ktoś wydał, że u nas coś takiego się działo. Męża nie znaleźli, ale wielokrotnie nachodzili majątek. Pan Bednarski, o którym już wspominałam, stale mnie ostrzegał, żeby uciekać ze dworu, bo ciągle przychodzą i pytają się o mego męża. Byłam sama, bo mąż, żeby się uchronić przed NKWD poszedł do Straży Ochrony Kolei. Niedługo tam był. No, ale cóż, mąż, jak to mąż, chciał odwiedzić dziecko i mnie. Przyszedł kiedyś, żeby zobaczyć jak ja żyję, bo już wszyscy uciekli z majątku. Ja sama zostałam z dzieckiem, siedziałam w takim tylnym pokoiku. I właściwie nie wiem, po co ja siedziałam tam jeszcze. Trzeba było uciekać stamtąd, jak radził pan Bednarski.

I wtedy właśnie męża aresztowali. Mimo tajemnicy, konspiracji i tak wiadomości o jego działalności rozchodziły się wśród ludzi. A byli tam też szpiegzy, donosiciele, szczególnie wśród miejscowych fernali. Wydali męża miejscowi fernali z majątku. Ten, który wydał, już chyba nie żyje.

ZM - Tam, po sąsiedzku, we wsi Wola Gałęzowska, była grupa ludzi związanych z PPR-em i AL-em.

LK - Tak. Nazywali to drugą Moskwą.

ZM - I ci właśnie ludzie penetrowali okolicę, szpiegowali, a po wejściu Sowietów przekazywali UB i NKWD informacje o ludziach i działalności AK.

LK - Wtedy, kiedy aresztowali mego męża, został też aresztowany ten pan Ziętek, o którym wspominałam, który męża wprowadził do konspiracji. Ciekawe, czy on żyje? Jego też aresztowali, ale udało mu się jakoś wydostać.

Mój mąż pisał pamiętnik, ale pojęcia nie mam, gdzie ten pamiętnik się podział. To byłyby dopiero wiadomości.

ZM - Czy ten pamiętnik zabrali w czasie aresztowania męża, czy też mąż ukrył go gdzieś?

LK - Mąż miał chyba ze sobą ten pamiętnik, kiedy był w Straży Ochrony Kolei. Przypuszczam, że tam gdzieś przepadł.

ZM - A gdzie mąż pracował w tej Straży Ochrony Kolei? W Lublinie?

LK - Wie pan, że tego już nie pamiętam. Nie mogę powiedzieć, bo nie wiem.

ZM - Przypuszczam, że mąż ukrywał się na „lewych” papierach, pod jakimś innym nazwiskiem. Czy pani coś wie na ten temat?

LK - Nie wiem. Znam tylko jego pseudonimy z okresu okupacji niemieckiej. Najpierw używał pseudonimu „Kurek”, a potem „Derwisz”. Jak poszedł do straży, to napewno pod innym nazwiskiem, ale pod jakim, tego nie wiem. Przyjechał mnie odwiedzić i wtedy go złapali.

ZM - Kiedy to mogło być? Było to jeszcze lato, czy już jesień, a może późna jesień?

LK - To była już jesień, ale nie pamiętam bliższego terminu, daty. Pamiętam, że chodząc na Chopina dowiadywać się o męża, bo tam podobno siedzieli ci aresztowani, nie było wówczas jeszcze śniegu czy mrozu, a ja byłam jeszcze ubrana niezimowo.

ZM - Jak przebiegało aresztowanie pani męża?

LK - Męża aresztowali w nocy. Przyszli go aresztować i Sowietci, z takimi żółtymi pagonami, chyba NKWD i Polacy z czerwonymi opaskami, bezpieka, czy ktoś. Dom otoczony był tak, że mąż nie miał żadnej możliwości ucieczki. Później mi Bednarski o tym mówił: - „Proszę pani, wszędzie było otoczone” - bo on chciał do nas dojść i widział to. Ktoś miejscowy dał znać, że mąż przyjechał mnie odwiedzić.

Po aresztowaniu męża ja nie mogłam już mieszkać w Woli Gałęzowskiej. Ostrzegał mnie pan Bednarski, że tamtejsi odgrają się, że mnie też zamordują. Wobec tego zabrałam manatki i wyjechałam do Bychawy. Mieszkałam nad pocztą, w takim małym pokoiczku. Tam mi pozwoliła zamieszkać siostra pani Zakrzeńskiej. Było tam nędznie, były myszy, ale jakoś trzeba było żyć. Piekłam ciastka, dawałam dzieciom do szkoły, one sprzedawały ciastka i przynosiły z powrotem brytwanki. I tak jakoś żyłam.

ZM - Żadnego nazwiska z tych odbijających nie pamięta pani?

LK - Nie. Był taki jeden chłopak fajny, wiem jak wyglądał, ale nie pamiętam nazwiska. On zresztą nie żyje, zginął wtedy właśnie. Taki młody podporucznik rezerwy, nie pamiętam już jak się nazywał. Odbijali go młodzi chłopcy z okolicy, którzy nieraz do nas przychodzili. Odbicie się nie udało, a wtedy - zaraz w nocy - wywieźli go do Lublina na Zamek. Chyba na Zamek, bo już nigdy nigdzie go nie znalazłam, nie było już żadnej możliwości zobaczenia się z nim. Jak męża wywozili, to pies za nim pobiegł i podobno gdzieś tam po drodze zdechł czy zginął.

Po uwięzieniu męża starałam się pomóc mu wszelkimi możliwymi sposobami. Dotarłam za czyjąś doradą do Hanki Gadzałanki. Mieszkała wtedy na ulicy Chopina 24. Poszłam prosić ją, żeby w jakiś sposób pomogła mi wyciągnąć męża z więzienia. Odpowiedziała, że nie może, bo mój mąż tworzył pańskie wojsko. To są jej słowa.

Mąż tworzył „pańskie wojsko” dlatego, że mieszkaliśmy w majątku, dlatego, że było to AK. A że w tym „pańskim wojsku” byli w większości chłopcy ze wsi, to dla niej nic nie znaczyło.

ZM - Wtedy, gdy pani prosiła ją o pomoc odpowiedziała więc, że nie może, ale nie dlatego, że nie jest w stanie pomóc, tylko dlatego, że nie chce.

LK - Tak, bo mąż tworzył „pańskie wojsko”.

ZM - A w okresie okupacji, kiedy ona była w okolicy, to pani się z nią gdzieś zetknęła?

LK - Absolutnie nie. Ja jej zupełnie wtedy nie znałam i nie słyszałam o niej wówczas, ani o jakiegokolwiek jej działalności. A po wojnie to ona pomogła całej swojej rodzinie. Wszyscy mają dokumenty, jakimi to oni byli działaczami, należą do ZBoWiD-u, są inwalidami wojennymi. Jeden z jej krewnych mnie namawiał, żeby się do ZBoWiD-u zapisać, ale ja powiedziałam nie. Jak ja mogę zapisać się do organizacji, do której należą ci, którzy mi zamordowali męża ?!

Gadzałanka mieszka teraz w Warszawie, w blokach wojskowych, ma ładne, dwupokojowe mieszkanie, ale jest bardzo samotna, nieszczęśliwa, ma daleko posuniętą miażdżycę. Są chwile, kiedy nic nie pamięta, nie wie nawet jak się nazywa. Biorą ją wtedy do szpitala, trochę podlecza, ale kto się nią dalej zajmie, tego nie wiem.

ZM - Wracając do lat wojny: wspominała pani o poszukiwaniu męża w Lublinie na ulicy Chopina ...

LK - Szukałam go tam, szukałam we wszystkich miejscach, które mi ludzie wskazali jako więzienia. A było tych miejsc sporo. Nigdzie go nie znalazłam. Jak się dowiadywałam, to mnie raz na ulicy Ewangelickiej /obecnie L. Waryńskiego/ zatrzymano w piwnicy, tam w pierwszej klatce na końcu ulicy. Całe szczęście, że miałam 200 złotych w kieszeni. Taki z opaską nie chciał mnie wypuścić z tej piwnicy, ja go błagałam, zaklinałam na wszystko tłumacząc, że dziecko maleńkie z sobą przywiozłam i zostawiłam. - „Niech mnie pan puści!” - mówiłam błagalnie do niego, a on na to: - „Cicho! Bo jak cię tym karabinem ...!” Polak był, bo po polsku mówił. Ja mu mówię: - „Dam panu wszystkie pieniądze, jakie mam”. - „A ile masz?” - on na to. Ja mówię: - „Wszystko co mam. Dwieście złotych.” To były wtedy pieniądze. - „No, to dawaj!” - „A puści mnie pan?” - „No, puszcę.” Dałam mu i z tej piwnicy wyleciałam, a on za mną: - „Tylko się nie oglądaj, bo cię zastrzelę!” Wyszedł za mną po schodach i stał. Coś okropnego, co się wówczas działo. Podobno jak uciekałam stamtąd, to z jakimś takim rykiem, nieludzkim głosem wydawanym. To nerwy. Tylko chciałam, żeby się za aptekę schować, za ten nurek. Tak to było, proszę pana. Do dzisiaj, kiedy tamtędy przechodzę idąc do pracy i z pracy, to widzę tę piwnicę i zawsze patrzę tam na dół.

W tej piwnicy, kiedy mnie do niej wepchnęli, było sporo ludzi. Nie wiem, czy to byli handlarze, czy jacyś polityczni.

I tak usiłowałam się czegoś dowiedzieć o mężu, chodziłam z miejscą na miejsce, bo mi powiedzieli: tu, tu.

ZM - No, bo w wielu miejscach były wówczas więzienia. Komenda Wojewódzka MO miała tam, na Ewangelickiej, NKWD na Akademickiej „Pod zegarem” i na Chopina. No, i były jeszcze zamek i „informacja” wojskowa. Również komenda powiatowa MO miała swoje piwnice, no a przede wszystkim UB na Krótkiej.

LK - O, właśnie na Chopina ...

ZM - Czym skończyła się ta próba odwiedzenia NKWD przez panią?

LK - No więc poszłam na Chopina, bo ktoś mi powiedział, że tam mąż może być. Nie weszłam do wnętrza, bo stał tam przed wejściem taki Ruski i zaraz po rusku do mnie, żeby uciekać, bo mnie zastrzeli. Tyle się dowiedziałam, takie było moje zetknięcie się z nimi.

Później ktoś mi znowu powiedział, że chyba na zamku są ci wszyscy, że on też jest w tej baszcie, na samej górze. Chodziłam tam wiele razy, ale nie miałam żadnego doświadczenia. Chciałam podać paczkę, jedzenie ale nowy nie było, żeby coś załatwić. Nie pozwolili i nic nie powiedzieli. Absolutnie nic. I tak ciągle chodziłam pod ten zamek, że może

od kogoś coś się dowiem, może on w szpitalu, może co. Niczego się nie dowiedziałam.

ZM - Spotykała tam pani napewno wiele innych osób?

LK - Mnóstwo ludzi pod zamkiem s^opykałam, ale byłam tak przybita tym wszystkim, że wogóle z nikim nie rozmawiałam.

Ja tak łaziłam, żeby zdobyć jakąś wiadomość i w tym celu, że może trafię na kogoś, kto za pieniądze coś zrobi, ale efekt tego był taki, że mnie wsadzili do piwnicy. Pieniądze na wykupienie byłabym dostała. Hrabina chciała wykupić męża, przecież ją stać było na to, ale nowy o tym nie było.

ZM - Wspomina pani o ofercie pomocy w wykupieniu męża ze strony pani Zakrzeńskiej, a wcześniej mówiła pani o aresztowaniu państwa Zakrzeńskich. Jak to pogodzić jedno z drugim w czasie?

LK - W tym czasie, kiedy mąż został aresztowany, pani Zakrzeńska nie była jeszcze aresztowana, ale nie wiem, gdzie wówczas była. Nie było jej oczywiście już w majątku. Dała mi znać przez kogoś, że może pomóc w wykupieniu męża, ale nic z tego nie wyszło.

Hrabina mi pomagała po aresztowaniu męża. Kiedy ona opuszczała Wolę Gałęzowską, a ja sama zostawałam w majątku, dała mi kilkaset złotych, zostawiła cukru, mąki, żebym miała coś do życia dla dziecka i dla siebie.

ZM - Państwo mieliście jedno dziecko, córkę? Kiedy ona się urodziła?

LK - Tak, jedną córeczkę. Urodziła się 12 lipca 1943 roku.

ZM - Córka żyje?

LK - Tak. Żyje, mieszka w Lublinie, ma dwu synów.

ZM - Wracając do lat czterdziestych, do roku 1944: czy pani wiedziała coś wówczas o procesie męża, o rozstrzelaniu?

LK - Szukałam, gdzie mi kto wskaże, jakichś informacji o mężu. Poszłam kiedyś do sądu. Był tam jakiś taki młody człowiek, do którego mnie skierowano, prokurator, czy ktoś inny. Dziś już nie wiem. Podałam nazwisko męża, pytam o niego, a on nic mi nie powiedział, ręce tak do tyłu założył, chodził i - „Oj, dziecino, dziecino ...” - mówił. Zorientowałam się w czasie tej wizyty u niego, że coś jest złe.

Dłuższy czas nic nie wiedziałam, a właściwie nie chciałam się dowiedzieć prawdy, chciałam się dowiedzieć, że jego wywieźli.

ZM - Tak, w Sybirze była nadzieja. Nieprawdopodobne jest łączenie, równanie tych słów: Sybir i nadzieja, ale tak wówczas było. Rodziny tych, o których nic nie wiadomo, miały nadzieję, że może pojechali na Syberię, że może stamtąd wrócą. A prawda była zwykle tragiczniejsza. W jakich okolicznościach i kiedy pani tę prawdę poznała?

LK - Po śmierci ojca w 1948 roku, w czasie pogrzebu, kiedy zjechała się rodzina, zaczęliśmy zastanawiać się wspólnie nad tym, jak się dowiedzieć, gdzie mój mąż jest. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, czy jest wywieziony na Syberię, czy gdzieś więziony.

ZM - Ludzie z zesłania w tym czasie już licznie wrócili.

LK - Zaczęliśmy wtedy znowu chodzić za tym z siostrą, która przyjechała też na pogrzeb. Mam nawet takie wspólne zdjęcie rodziny z tego pogrzebu. Siostra była bardzo dociekliwa, namawiała mnie, żebyśmy poszły dowiadywać się, szukać. Od kogoś usłyszaliśmy, że tych, którzy byli na zamku, Sowieci pod zamkiem wybili. Ktoś inny nam poradził, żeby szukać na Unickiej i myśmy poszły wtedy do tej cmentarnej kaplicy na Unickiej; tam właśnie znaleźli wiadomość. Tam się dopiero dowiedziałam tej okropnej prawdy, w którą wierzyć nie chciałam.

Początkowo nie chcieli mi udzielić informacji. Kilkakrotnie chodziłam tam, w końcu trafiłam na jakiegoś kierownika, powiedziałam, że jestem żoną i dopiero on mi powiedział, że taki jest na cmentarzu pochowany, na polu trzynastym, z całą grupą innych.

ZM - Wówczas było to na końcu cmentarza, pod murem.

LK - Tak, tam mur był i takie krzaki, krzaki ogromne. Później dopiero przedłużono cmentarz, zrobiono drogę i jeszcze jeden rząd grobów od ścieżki zrobiono, żeby te zapamiętać, zaniedbać.

Dopiero wtedy, na tym cmentarzu dowiedziałam się. Było zapisane imię, nazwisko, imię ojca. A ja ciągle dotychczas wierzyłam, że jeszcze od męża dostanę jakąś wiadomość. Nic. No, i jak tam poszłam, to już wiadoma stała się prawda: nie żyje. To było w tym roku, kiedy zmarł ojciec, ale już po jego pogrzebie.

ZM - Wracając jeszcze do śmierci ojca pani, czy możemy przyjąć, że podany rok śmierci 1948 jest pewną informacją?

LK - Napewno tak.

ZM - Pytam o tę datę, gdyż zależy mi na wyjaśnieniu, jak wzajemnie w czasie wiążą się te dwa wydarzenia: śmierć ojca pani i uzyskanie wiadomości o śmierci męża?

LK - Mój ojciec, proszę pana, był też oficerem przed wojną, był w RKU w Sanoku. Uciekał na Węgry w 1939 roku. Nie wiem, jakie były jego losy, dość że dostał się do obozu koncentracyjnego w Niemczech, do Dachau.

ZM - A jak to się stało, że ojciec znalazł się w obozie?

LK - Nie wiemy. Od niego nie mogliśmy się nic dowiedzieć, on zupełnie stracił pamięć. Od innych też nic nie dowiedzieliśmy się. A ja miałam tyle swoich nieszczęść, że nie miałam siły i możliwości zbierania w tym czasie informacji o losach ojca w czasie wojny.

ZM - A czy w okresie pobytu ojca w obozie mieliście jakieś wiadomości od niego, listy?

LK - Żadnych.

ZM - Czyli przez cały okres wojny, od czasu wyruszenia ojca z domu na Węgry, nie wiedzieliście nic o nim?

LK - Nic, absolutnie nic. Sądziłyśmy, że jest na Zachodzie. Po wojnie dopiero - nie pamiętam dokładnie kiedy - jeden z kolegów ojca dał nam znać, że trzeba ojca zabrać z Krakowa, bo tam dostarczyli Amerykanie tych chorych z obozów. Ojciec był zupełnie bez pamięci, obłożnie chory. Przewieźliśmy go do Sanoka, gdzie zmarł w 1948 roku. Strasznie się męczył, był opuchnięty, nogi miał szczególnie spuchnięte. Nic nie pamiętał, rozum był u niego, jak u niemowlęcia. A poza tym ciągle się bał, bał się wszystkiego, ciągle wszystko chował pod poduszkę, „bo idą”. Bał się ciągle, że przyjdą po niego, uciekał. W tym pokoiku, w którym ojciec leżał, musieliśmy kraty w oknie zamontować, bo uciekał przez okno. Bał się ciągle, że przyjdą po niego Niemcy. Od ciągłego leżenia dostał odleżyn, podkładaliśmy takie koła. Okropne męki przeszedł ojciec przed śmiercią. Pochowaliśmy go w Sanoku.

ZM - Czy Sanok pani odwiedza?

LK - Tak, ale bardzo to przeżywam. Tam matkę i ojca pochowałam. Rzadko tam jeżdżę. Dziś, to jest już zupełnie inny Sanok niż ten, który ja znałam. Jak przechodzę koło tego 2-go pułku strzelców, przypominam sobie, jak to było, kiedy miało się niewiele lat, inne warunki. Ale rodzinę tam mam. Ojciec nasz wybudował tam nawet kiedyś taki własny domek. Kiedyś Sanok - to było małe, ładne, ciche miasteczko; dziś się Sanok rozbudował, miasto fabryczne, ale też piękne. Z wielkim bólem jeżdżę do Sanoka, ale trzeba czasami pojechać, choćby na groby. Jeżdżę tam w różnych porach, a na Wszystkich Świętych to już tutaj jestem. Człowiek jest tak związany tym grobem małżonka. Ja ten grób męża sama wykupiłam i uporządkowałam. I ja tam też wykupiłam sobie

miejsce, razem z nim będą pochowana.

Kilka innych sąsiednich grobów również rodziny postawiły. Później zbiorowo wybudowano, uporządkowano następne groby pomordowanych. Dzisiaj na tych grobach przy Unickiej jest już wiele imiennych tabliczek, a kiedyś to był tam tylko jeden krzyż z napisem „nieznany żołnierz z 1939 roku”.

ZM - A kto się tym zajął, kiedy to zostało zrobione?

LK - Podobno kuria biskupia i kościół powiżytkowski razem z rodzinami. Tam, w tym kościele spotyka się ludzi, którzy się tym zajmują. Co roku, w pierwszą niedzielę po Wszystkich Świętych, odbywa się w tym kościele msza za poległych i pomordowanych AK-owców. W tym roku też była. Nie był pan na niej?

ZM - Byłem w Bażycach; w tym samym dniu była tam msza w tej samej intencji. Żałowałem bardzo, że tak się złożyło, że nie mogłem być tutaj.

LK - Ja byłem tutaj. Szkoda, że pana nie było. Było tylu starszych ludzi z AK, niektórzy nawet w mundurach, niektórzy z biało-czerwonymi opaskami z literami AK. Przy samym ołtarzu było pięć sztandarów. Mszę odprawiał chyba jakiś ksiądz kapelan. Ja na tym nabożeństwie siedziałem jak wryta. Najpierw był apel poległych. Przed tablicami Tumidajskiego i jego żołnierzy paliły się świece, znicze, pełno było kwiatów, wieńców z szarfami z napisami „Żołnierze AK Okręgu Lubelskiego”. Msza była bardzo uroczysta, było wielu księży, dużo harcerzy, ale tych liturgicznych.

Po uroczystości zwróciłem się do takiego starszego pana z pytaniem, jak załatwić umieszczenie tabliczki upamiętniającej mego męża w tym kościele, z kim rozmawiać na ten temat. On mnie skierował do takiego wysokiego, siwego pana. Nie wiem, kto to jest. Jeden z nich wygłaszał tam nawet kilka słów na tej mszy z ambony, oprócz księdza.

Ten pan bardzo źle się wyrażał o „Szarudze”. Dlaczego? Mówił do mnie: - „Musimy, proszę pani, badać bardzo dokładnie takie sprawy, bo znalazło się tu kilka tablic niepożądanych” - i jako przykład dawał odzież „Szarugi” i jakieś nazwiska, może również z innych oddziałów. - „I wie pani” - powiedział - „musimy wobec tego takie sprawy badać przez sąd kurii biskupiej”. - „Proszę bardzo” - odpowiedziałam i złożyłam później w tym sądzie proponowaną treść tabliczki.

ZM - Wie pani, to są sprawy odległe, często trudne dzisiaj do wyjaśnienia, bo ci, którzy mogliby wyjaśnić, bardzo często już nie żyją. Jest wiele wzajemnych nieuzasadnionych pomówień. Ja nie twierdzę, że tutaj akurat ten ma rację, a ten jej nie ma. W wielu przypadkach ktoś tam z różnych powodów przenosi jeszcze do dzisiaj jakieś dawne plotki, pomówienia z odległych lat na drugiego człowieka, a często niewiele o nim wie. Czasem jakieś dawne zawiści powodują powstawanie jeszcze dziś nowych oskarżeń, zupełnie nieuzasadnionych.

LK - Ja nie mogę nie o tym powiedzieć, bo nie znam tych spraw, mówię tylko to, co on mi powiedział.

ZM - Wspominała pani w rozmowie „Spartanina”. Nie wiem, czy pani wie o tym, że jego też skrzywdzono pomówieniami, jeszcze w okresie wojny. Postawiono mu m. in. zarzuty, że on jakieś pieniądze organizacyjne zużył, a wszyscy znający go twierdzą, że było wprost odwrotnie: „Spartanin”, pochodzący z dość bogatej rodziny /posiadali cegielnię/, dawał własne pieniądze na organizację, na dowodzony przez siebie oddział partyzancki, a nie żeby on czerpał zyski z tego.

LK - Rzeczywiście, to wszystko kosztowało bardzo dużo. Ja pamiętam, ile tego wszystkiego było, choćby tylko u nas pod podłogą. Ile broni, umundurowania. A ileż to wszystko musiało kosztować?

A w Bychawie, jak mówili, to „Spartanin” nawet w dzień wojował i rządził. Do dwunastej byli Niemcy, a po południu oni.

ZM - Rozumiem, że o „Spartaninie” ma pani jak najlepsze zdanie. Ja również, tylko uważam, że on nie miał szczęścia, nie udawały mu się różne przedsięwzięcia i akcje. Ale o dobrych stronach i czynach ludzi u nas naogół niewiele się mówi, a kiedy coś złego powie się o człowieku, to się niesie echem w koło, wszyscy o tym wiedzą.

Jeszcze jedno pytanie dotyczące działalności oddziału „Szarugi”. Wspominała pani, że była raz z mężem na przyjęciu zrzutu. Zrzut ten przyjmował oddział „Szarugi”. Jak pani pamięta ten zrzut, co pani sobie przypomina?

LK - Niewiele pamiętam szczegółów, ale to było ogromne przeżycie. Była noc, huk tego samolotu, ludzie biegający jak zjawy w ciemności. Pamiętam, że jeden ze spadochronów zawiesił się wówczas na sosnach. No, a poza tym strach. Ale jakichś dokładniejszych faktów, wydarzeń nie pamiętam.

ZM - Znowu odbiegliśmy od zasadniczego tematu naszej rozmowy. Czy

doprowadziła pani do końca sprawę tej tabliczki upamiętniającej męża?

LK - Napisałam podanie, byłam w sądzie biskupim w kurii, bo tam ta sprawa - jak mi powiedzieli - musi przejść. Zanieśliam tam też treść tej tabliczki, którą chcę umieścić w kościele. Był tam taki starszy ksiądz, siedział w oddzielnym pokoiku i tak żeśmy sobie porozmawiali. Ten ksiądz mi opowiadał o wydarzeniach, których nie znałam dotychczas.

Kiedy ich przywozili na cmentarz rozstrzelanych, gołych, bez niczego, to niektórzy, którzy to wie, mogli być jeszcze żywi. Wykopali taki nieduży dołek i tak lekko ich tylko przysypali ziemią. Podobno ludzie chcieli tych rozstrzelanych od razu przyzwoicie chować, ale tam przy grobie stały cztery kobiety, Sowietki, i jak się ktoś zbliżał, to groziły zastrzeleniem i podobno strzelały. Tego nie wiedziałam, dopiero od tego księdza dowiedziałam się o tym.

No cóż, ja nie miałam żadnej możliwości, żeby wydestać ciało męża. Nie wiedziałam, kiedy to się stało, którego dnia, nie było mnie tutaj, no, i miałam dziecko, które trzeba było ratować. Dowiedziałam się o wszystkim dopiero znacznie później, jak już opowiadałam, z tej kaplicy na cmentarzu.

Ja się do dzisiaj dziwię, że oni zachowali dokumenty tej zbrodni; przecież na siebie bat przygotowali.

ZM - Dokumenty z tych wszystkich procesów są w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie.

LK - to był jakiś proces?

ZM - Napewno był. Powinna pani zwrócić się do archiwum o odpis lub kopię wyroku i aktu oskarżenia. Najbliższa rodzina ma prawo tego żądać.

LK - Wie pan, że chyba te zrobię.

ZM - Niech pani opowie mi jeszcze o swoich losach po wojnie.

LK - Jak już mówiłam, po aresztowaniu męża zajmowałam się w Bychawie wypiekaniem ciastek, ale niezbyt długo, bo mi nie pozwolili tego robić. Musiałam szukać innego zajęcia. Był tam w Bychawie taki aptekarz, nazwiska już nie pamiętam, który poradził mi: - „Wie pani co! Są na wsiach takie szkoły rolnicze. Nie musi się pani objawiać gdzieś w mieście.” A on wiedział, że ja się bałam własnego cienia, bo jak mi mówił Bednarski, szesnaście razy po mnie przychodzili. Ja dlatego nie mogłam wracać tam. Skorzystałam z rady aptekarza. Był w Kraśniku taki inspektor Rutko i on mnie zatrudnił, poszłam do tych szkół rolniczych. Inspektor Rutko zmarł nagle w późniejszych latach.

Pierwsza moja posada była w Wilkołazie. Szkoła mieściła się w majątku, po Kleniewskich chyba. Ja w tej szkole uczyłam, a później stamtąd przeniosłam się do Zdziechowie. To też była szkoła rolnicza, ale innego rodzaju. Potem znów miałam być przeniesiona do Wierzechowisk, ale nie przyjąłam tej posady, zrezygnowałam. Przenieśli mnie więc do Okszowa, do liceum hodowlanego. Byłam jeszcze na kursie nauczycieli szkół rolniczych w Pszczelnej Woli. Kazali mi po kursie uczyć ekonomii politycznej, filozofii marksistowskiej, a mnie to zupełnie nie odpowiadało. I tak jakoś te szkoły musiałam bez przerwy zmieniać.

W Zdziechowie jeszcze dostałam jakiegoś takiego ekropnego ataku na tle nerwowym. Lekarz wojskowy Niecko /kolega mojego brata, już nie żyjący/ powiedział, że absolutnie nie mogę pracować w szkole. Ponieważ te szkoły należały do wydziału oświaty rolniczej Urzędu Wojewódzkiego, więc w tym wydziale zaproponowali mi, żeby pomagać w jakichś pracach budżetowych. Jakiś czas tam byłam, ale na szczęście taki pan Baran ze związku zawodowego przy Urzędzie Wojewódzkim zaproponował mi prowadzenie biblioteki związkowej. Przyjąłam tę posadę. Byłam wówczas nie na etacie Urzędu Wojewódzkiego, lecz związku zawodowego.

ZM - Jak to w czasie umiejscowić?

LK - W latach 1946-48 wędrowałam po tych szkołach gminnych, w 1950 skończyłam ze szkołami i od tego czasu pracowałam w bibliotece. Potem były reorganizacje, połączono bibliotekę urzędu i związkową, i tak ciągnęłam dwie. Przeszłam potem na emeryturę, a teraz w tej samej bibliotece pracuję jeszcze na półetacie. Jakoś trzeba żyć, a sama emerytura na to nie starcza.

ZM - Na dokumentach z lubelskiego inspektoratu, które mi pani pokazała, tych przedwojennych i z początku wojny, podpisany jest inspektor szkolny Leonard Krupczak. Czy pani go znała?

LK - Znałam go tylko jako swoją władzę, jako przełożonego. Blżej go nie znałam, ale on miał ogromne poważanie, autorytet; był bardzo cenny. Nie tak jak dzisiaj.

ZM - Między innymi sprawami chciałam również panią prosić o wskazanie mi osób, które znają te czasy i sprawy o których mówiliśmy oraz o ewentualne polecenie mnie, zarekomendowanie tym osobom.

LK - Bednarski jeszcze żyje w Gałęzowie. Nie pamiętam jego imienia, ale Bednarski napewno. U niego by się pan mógł wiele dowiedzieć. Bednarski żyje napewno, bo niedawno pytałam się o niego takich ludzi

pochozących ze wsi, którzy mają z Gałęzowem kontakty. Jest taka pani, która obok mnie mieszka; ona jest bardzo miła, dobra dla mnie, ale ma zupełnie inne zapatrywania niż ja. Należy do ZBoWiD-u, ma jakieś tam zaświadczenia, legitymacje o swoim udziale w walkach. Mieszka też koło mnie taki komunista, który mnie namawiał, abym też zapisała się do ZBoWiD-u. - „Niech pani wstąpi jako podopieczna” - mówił mi. Ale ja nie chcę dla tych paru złotych iść na to. Miałam dziecko maleńkie, nie miałam żadnej pensji i jakoś żyłam. Rozmawiałem bywało, przeżyję i teraz bez ZBoWiD-u.

ZM - Mam do pani jeszcze jedną prośbę. Jeżeli ma pani jeszcze jakieś inne dokumenty, na podstawie których można by było uściślić fakty, daty, konkrety dotyczące męża, dotyczące państwa, to byłbym bardzo wdzięczny za ich udostępnienie. Odnotowałbym sobie z nich niektóre informacje. Byłbym również bardzo zainteresowany możliwością wypożyczenia, w celu reprodukcji, jakiejś fotografii męża pani.

LK - Nie mam, niestety, prawie nic, bo jak pan wie, człowiek się wówczas wszystkie bał, nie chciał nic mieć, co mogło by mu zaszkodzić.

ZM - Dziękuję pani za rozmowę, za te wszystkie cenne informacje, które od pani uzyskałem.

Zbigniew Muszyński
(-) Zbigniew Muszyński

Ludwika Kukuła
/-/ Ludwika Kukuła
ul. E. Próchniaka 3/2
20-075 L U B L I N
tel. 23-357